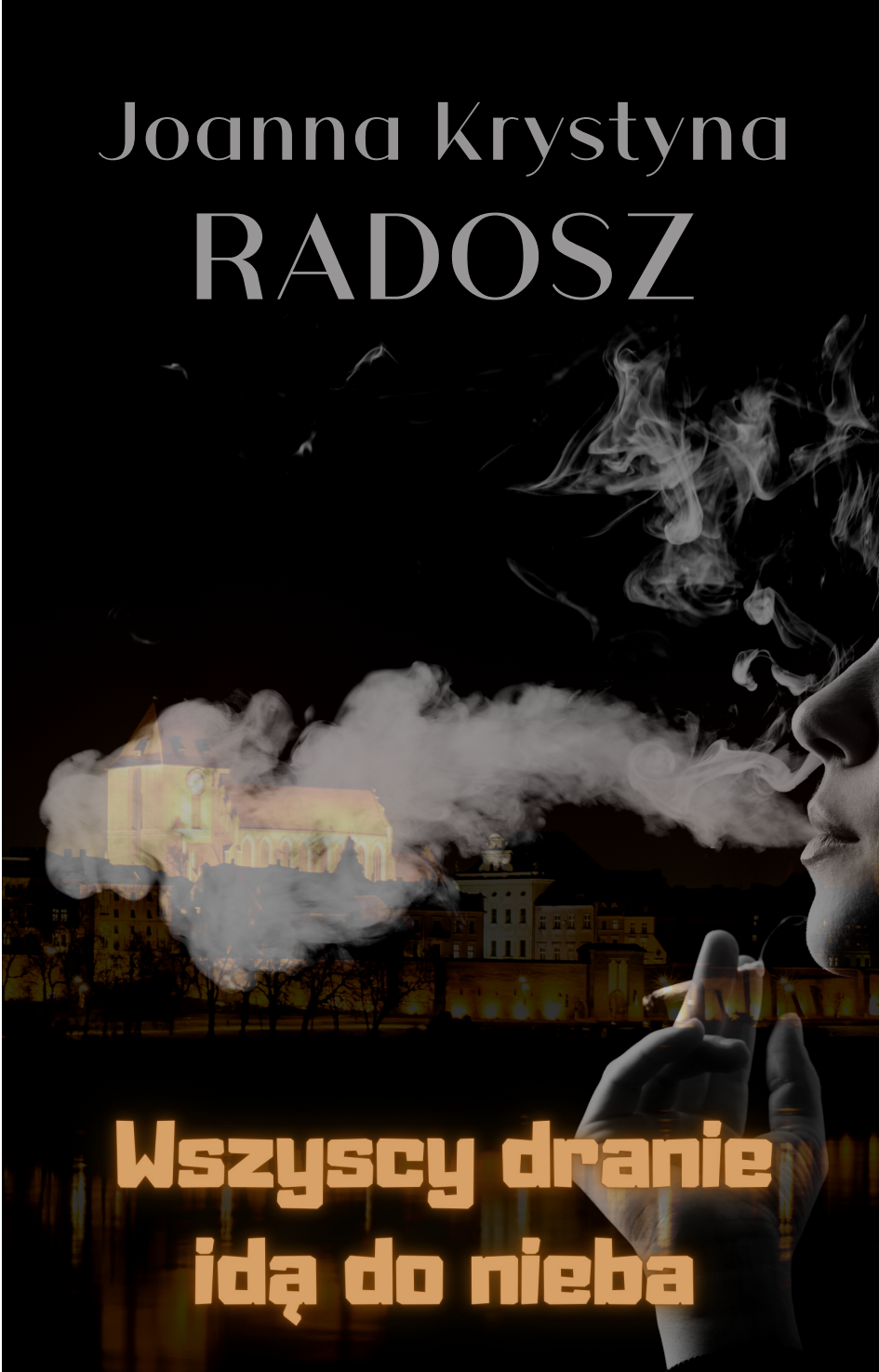
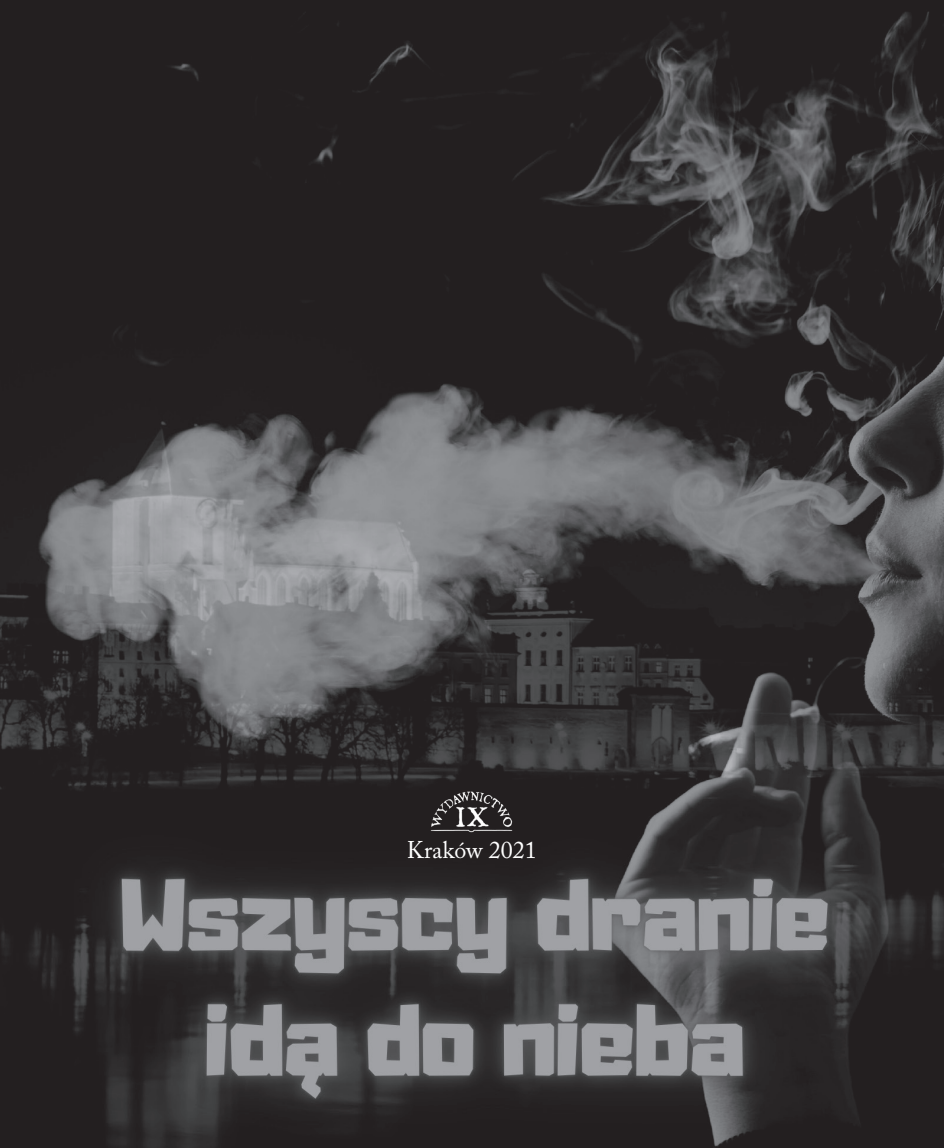


Joanna Krystyna RADOSZ

A black and white photograph of a person's profile on the right, exhaling a large plume of smoke. The smoke is artistically rendered to form a cityscape at night, featuring a prominent church with a tall spire and other buildings. The scene is set against a dark background, with the smoke acting as a bridge between the person and the city. The overall mood is contemplative and surreal.

**Wszyscy dranie
idą do nieba**

Joanna Krystyna RADOSZ



WYDAWNICTWO
IX
Kraków 2021

Wszyscy dranie idą do nieba

Tytuł: *Wszyscy dranie idą do nieba*

Autor: Joanna Krystyna Radosz

Copyright © 2021 by Joanna Krystyna Radosz

Copyright for the cover art

© Joanna Krystyna Radosz

All rights reserved.

Wydawca: Krzysztof Biliński, Wydawnictwo IX

Redakcja: Katarzyna Koćma

Projekt, skład, łamanie i przygotowanie do druku: Krzysztof Biliński

Ilustracja na okładce: Joanna Krystyna Radosz

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być w jakikolwiek sposób powielana bez zgody wydawcy, z wyjątkiem krótkich fragmentów użytych na potrzeby recenzji oraz artykułów.

Wydawnictwo IX

biuro@wydawnictwoix.pl

wydawnictwoix.pl

Kraków 2021

Wydanie I

ISBN 978-83-960838-2-1 (wydanie elektroniczne)

Ktokolwiek zajmował się planowaniem przestrzennym centrum Torunia, musiał mieć osobliwe poczucie humoru. Tylko tak dało się wytłumaczyć fakt, iż jeden z najbardziej prestiżowych hoteli w mieście został wciśnięty między komendę, budynek prokuratury i szpital. I vis-a-vis cmentarza na dokładkę.

Mijając nekropolię, Kinga mimowolnie drgnęła. Papieros wypadł spomiędzy palców na warstwę śniegu pokrywającą popękany chodnik. Przydeptała go obcasem i poszła dalej, przyspieszając kroku. Od cmentarza wiało jakimś niehumanym zimnem, niemającym nic wspólnego z grudniową pogodą.

Chciała zapalić na nowo, lecz tuż przed jaśniejącą w mroku bryłą hotelu nie miało to sensu. W głębi duszy dziewczyna chętnie spędziłaby noc za ogrodzeniem, odpalając jednego papierosa od drugiego, byleby nie musieć oglądać pewnej obmierzłej gęby. Poczucie dziennikarskiego obowiązku było jednak zbyt silne, by zdezerterować. W końcu obiecała zrelacjonować dla swojego portalu cały pobyt ekipy filmowej w Toruniu. Także kameralne *before party*.

Gdy zjawiła się w barze na drugim piętrze, nikt nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. Kindze to wyjątkowo

odpowiadało. Zrobiła krok w bok, przyłgnęła do jednego z parawanów i zlustrowała towarzystwo, najwięcej czasu poświęcając osobom związanym ze środowiskiem sportowym. Nie bez kozery pracowała dla „Żuźlowego Kuriera”.

Naprzeciwko niej, na wysokich stołkach przy barze, siedział Ewaryst Szpachla, prezes toruńskiego klubu żuźlowego i zarządca przyszłego planu zdjęciowego wraz z reżyserem oraz jednym ze scenarzystów, niejakiem Gregorym Peashawem. Co dziwne, nigdzie nie widziała współscenarzysty, a ponoć byli z Peashawem nierozłączni... Przynajmniej tak twierdziły liczne internetowe źródła.

Supel w żołądku Kingi odrobinę się rozluźnił. Wzięła nawet kieliszek szampana z podsunętej jej pod nos jak na bankiecie tacy, lecz wciąż nie miała sił, by upić choć łyk. Starając się nie zdradzać zdenerwowania, potoczyła wzrokiem po okolicy. Na kanapie w pobliżu baru siedziała scenografka, której twarz Kinga rozpoznała, mimo iż dotąd widziała tę kobietę tylko na starych zdjęciach. Towarzyszyła jej nieznajoma dwójka z ekipy filmowej. Nieco dalej producent przedsięwzięcia, norweski biznesmen Egil Grønn, toczył ożywiony dialog z synem, byłym żuźlowcem podobnym do niego jak kropla wody, oraz odtwórcą głównej roli i jego filmową partnerką. Za przeszklonymi drzwiami zaś, okryci jedynie marynarkami, dwaj Rosjanie – aktor wyglądający na znacznie młodszego niż twierdziła metryka i przystojny żuźlowiec o nieco egzotycznej urodzie – spoglądali z balkonu na bezgwiezdne niebo. Żuźlowiec był mistrzem świata, ale w tym miejscu wtapiał się w tłum, ot, jeden z hotelowych gości, wcale nie utytułowany czempion i legenda miejscowego klubu.

Brakowało dwóch osób. Jedną z nich Kinga bardzo chciała odnaleźć w tej niedużej grupie. Myśl o drugiej sprawiała, że żołądek znów podchodził do gardła.

Już unosiła do ust kieliszek, by kwaśnym smakiem szampana spłukać żółć, gdy nagle ktoś potrącił ją łokciem, szampan chlapnął na wypolerowaną podłogę, a ponad nią rozległ się głos mówiący po angielsku z przesadnie niedbałym akcentem:

– Stary zły troll powrócił. Tęskniliście?

W progu stał Petter Aksel Lindmann, żuźlowiec, biznesmen, celebryta. Może to nie on grał główną rolę w powstającym filmie, lecz gdy wszystkie spojrzenia skierowały się na niego, i laik zrozumiałby, kto gra pierwsze skrzypce w tym życiowym spektaklu. On nawet w sporcie skupiał na sobie wszystkie spojrzenia, choćby zajmował ostatnie miejsce.

Kinga obejrzała się z niepokojem i nadzieją jednocześnie. I zaraz oba te uczucia zostały gwałtownie ugaszone. Nadzieja – Lindmann bowiem, obiekt dzien-
nikarskiego pożądania, minął ją jak powietrze. Niepokój – gdyż z nim nie było nikogo. Ani śladu drugiego scenarzysty, Artamona Vildego.

Mimowolnie odetchnęła z ulgą.

* * *

Do Torunia na rekonesans zjechała okrojona wersja ekipy filmowej. Zdjęcia były dopiero w planach, scenariusz w produkcji, a twórcy filmu o znaczącym tytule *Wszyscy dranie idą do nieba 2* na etapie dyskusji nad kształtem finałowej sceny. Kinga zdążyła się dowiedzieć z rozmowy reżysera z Peashawem, że ten drugi nie lubi dziennikarzy, a poza tym ostatnie minuty filmu mają

się rozgrywać podczas żuźlowej Grand Prix w Toruniu, w padającym u progu października śniegu. Nadal miała jedynie mgliste pojęcie o fabule przyszłego hitu, oparte na tych kilku strzępach informacji, którymi podczas wywiadu podzielił się z nią Vilde (choć i o nich wolałaby zapomnieć).

Prawdę powiedziawszy, i pierwszą część pamiętała jedynie w zarysie jako historię młodego żuźlowca, Spidera, który żeby zarobić na starty na najwyższym poziomie, zaczyna pracować dla lokalnych gangsterów. Opowieść mogłaby być świetnym dramatem psychologicznym, gdyby Peashaw – jedyny podówczas scenarzysta – nie lubował się w karykaturalnym patosie. Film uratował tylko najbardziej niejednoznaczny z bohaterów, łajdak o złotym sercu, Flint. Ten sam Flint, tak samo łajdacki, choć pod innym nazwiskiem, siedział teraz w sali, opowiadając o zimie w ojczystej Norwegii.

Peashawowi za to chyba doskwierał fakt, że nikt nie docenił jego stylistyki. W przeciwieństwie do reżysera, który stawał się tym smutniejszy, im więcej pił, Peashaw gasł tym bardziej, im dłużej jego szklanka pozostawała pusta. Kinga naczytała się, jaką duszą towarzystwa jest brytyjski scenarzysta, a teraz jego zachowanie zdradzało frasunek. Może to były kwestie zawodowe. Może brakowało mu towarzystwa Vildegosa...

Zgromadzeni szybko podzielili się na grupki, a Kinga starała się lawirować między nimi jak cień, by mieć na oku wszystkich bohaterów wieczoru w jakiś sposób związanych z żuźlem. Najprościej było z Lindmannem. Jego nie dało się nie mieć na oku. Znajdował się wszędzie i mówił bez przerwy, a Kinga starannie notowała każdy bon mot i niemal każde słowo. Sprawę nieznacznie ułatwiał fakt, że mężczyzna z lubością rzucał cytata-

mi Flinta z pierwszej części filmu, szczególnie: *Martwi żużłowcy nie jeżdżą*. Bezlitośnie krótkie *credo* filmowego trickstera jak nic pasowało do tego wysokiego, barczystego Norwega, który już samą swoją sylwetką przeczył typowej wizji żużlowca. Flint, gdy wyczerpał arsenał legalnych środków dążenia do celu, bez wahania sięgnął po te wątpliwe moralnie. Lindmann, zbyt wysoki na uprawianą dyscyplinę, brak zwrotności nadrabiał nieprzewidywalną jazdą na pograniczu faulu. Flint, pozornie lider drużyny i gwiazda reprezentacji, przy bliższym poznaniu jawił się widzowi jako odszczepieniec. Lindmann przez lata, mimo pochodzenia, jeździł w reprezentacji Danii i dopiero wielka awantura towarzysząca zmianie barw ujawniła skalę jego alienacji przez federację. Flint stał się gwiazdą mimo żużla i bogactwa, a Lindmann dorobił się bogactwa na żużlu i na przekór nienawidzącym go toruńskim kibicom kupił Polonię Bydgoszcz. Obaj, ten prawdziwy i ten zrodzony na potrzeby filmowej produkcji, przeszkody traktowali kopniakiem, przekonani, że prócz śmierci nic nie może ich powstrzymać.

Spóźnił się z pewnością celowo, by zwrócić na siebie uwagę, jakby naprawdę potrzebował hollywoodzkich sztuczek. Mówił głośno, śmiał się donośnie, ciętymi uwagami częstował zarówno współaktorów, jak i resztę ekipy. Również tej nieobecnej. To on w odpowiedzi na niepewne: „Artamon nie odbiera... Pewnie znowu dopadła go migrena” Peashawa parsknął bez zastanowienia: „Nie pracuje mu głowa lub główka”, wprowadzając zgromadzonych w konsternację. A gdy Spider, to znaczy Ronald (Kinga zauważyła, że nie tylko ona z przyzwyczajenia nazywa aktora filmową ksywką, nie kojarząc go z niczym prócz roli w *Draniach*...) po dwóch godzinach pożegnał się z towarzystwem, uzna-

jąc, że musi się wyspać przed rekonesansem, Lindmann po raz kolejny dał popis swoich możliwości. Nachylił się do Lauren, filmowej partnerki Spi... Ronald, rudej i piegowatej, i teatralnym szeptem, bacząc, by na pewno słyszeli wszyscy zgromadzeni, rzucił:

– Zostało nas trzynaścioro. Jak to było u Celtów, Lauren? Na wozie jest dwunastu wojów, a trzynasta – śmierć?

Kinga uznała odzywkę Lindmanna za nieszkodliwy żarcik, jednak Lauren ona z jakiegoś powodu rozgniewała.

– Nie lubię takich przesądów. Też pójdę, to nie będziesz miał swoich trzynastu wojów.

Dziennikarka żałowała, że nie ma czasu się zagłębić w ten wątek. Po wyjściu Lauren próbowała za to namówić Lindmanna na pogawędkę w cztery oczy. On jednak demonstracyjnie unikał i jej słów, i towarzystwa, jakby była w najlepszym wypadku meblem.

W końcu będziesz musiał ze mną porozmawiać, pomyślała Kinga. O ile Lindmannowski folklor był wspólną obserwacją do reportażu, która jak zwykle podzieli czytelników, o tyle dziewczyna chciała też czegoś ekstra. Czegoś, czego od lat nie dostał żaden dziennikarz.

Tymczasem skupiła się na kolejnej z osób ze środowiska, które mogły dać jej wyjątkowo barwny materiał. Patricia Jenkins, dzisiaj scenografka, przed dwiema dekadami była partnerką jednego z brytyjskich żużlowców. On zaś, zaledwie zgarnął tytuł najlepszego zawodnika świata, pozbył się z życia wiernej kobiety, która jego karierze oddała najlepsze lata, i znalazł sobie jakąś przelotną przygodę, a po niej kolejną...

Kinga nie miała okazji obserwować tych wydarzeń. Dwadzieścia lat temu była smarkulą i nie wiedziała nic

o żuźlu. O Pat Jenkins i tym, jak po jej stronie stanęli dawni koledzy niewiernego żuźłowca, usłyszała od starszych dziennikarzy. A teraz ta sama Pat Jenkins, śliczna urokiem świadomej, dojrzałej kobiety, siedziała kilkanaście centymetrów od Kingi i przyciszonym głosem opowiadała coś owym dwóm osobom, które dziennikarki nie powinny były obchodzić:

– ...trudno się dziwić, że był nerwowy, skoro ten chuj może tu w każdej chwili wrócić...

– Vilde?

Gwałtownie złapała oddech. Za dużo wspomnień, zbyt świeżych, zbyt złych.

– A kto inny. Pomyśl, jak Ronald musi się czuć ze świadomością, że ten człowiek będzie z nim dzień w dzień, przez cały czas kręcenia filmu? Nie wycofa się przecież, to dla niego jedyna szansa, żeby pokazać, że Spider może być poważną postacią, a Ronald Westbrook – poważnym aktorem...

– Nie może tego głośno powiedzieć? Za takie coś się siedzi.

Jenkins zaśmiała się lodowato.

– Na jakim świecie ty żyjesz? Ludzie już od dawna plotkują. To tajemnica poliszynela. I nikt z tym nic nie robi. Jak myślisz, po czyjej stronie stanie przemysł filmowy? Nieznanego aktora, który zagrał trzy większe role, czy hollywoodzkiego scenarzysty?

– Vilde nie jest jakąś oscarową gwiazdą...

– No i? – prychnęła Pat, postukując o szklankę brandy długim paznokciem. – Robił dla Hollywood. Ocknijcie się. W najlepszym wypadku wszyscy uznają, że Ronald jest przewrażliwiony. Vilde był dla niego miły, a ten zaraz pieprzy coś o molestowaniu. A w najgorszym...

Kinga straciła moment konwersacji, ponieważ uszy wypełnił jej odgłos krwi pulsującej zbyt gwałtownie w żyłach. Żółć znowu podeszła do gardła i dziewczyna uznała, że musi natychmiast zapalić, inaczej zwymiotuje.

Na balkonie było pusto i przeraźliwie zimno. Gdy Kinga próbowała zapalić papierosa, ręce trzęsły się jej jak w gorączce. Może od chłodu, a może przez te sceny pchające się do głowy tak wyraźne, jakby zdarzyło się to nie wczoraj, a przed kilkoma chwilami.

Artamon Vilde. Wysoki, proporcjonalny, dla niej przystojny. Jego oddech z delikatną nutą whisky, nawet nie kwaśny. Kowbojski kapelusz, którego nie chciał zdjąć, uśmiechając się przewrotnie i twierdząc, że pod kapeluszem nie ma nic ciekawego. Jego dłoń, która w pół drogi do szklanki zmieniała kierunek i zetknęła się z kolanem Kingi. Jej próba obrócenia sprawy w żart. „Ile procent ma ta whisky?”. „To kolejne pytanie do wywiadu?”. Opuszcza palca naciskająca wyłącznik dyktafonu. „Może teraz ja zadam ci parę pytań? Zamieńmy się rolami”. Trzask rozpadającej się na kawałki szklanki. Jego syk, wściekłość, a nie ból. „Co to miało być?”. Moment, w którym powinna była zareagować stanowczo, ale ją było stać tylko na idiotyczną wymówkę, że musi już iść, bo skończył się czas. „Do zobaczenia”. Normalny głos normalnego mężczyzny. W innej sytuacji uznałaby go nawet za przyjemny...

– Hej, potrzebujesz pomocy?

Ocknęła się i zdała sobie sprawę, że wciąż bezskutecznie próbuje zbliżyć zapalniczkę do koniuszka papierosa. Z progu zaś jej zmaganiom przypatrywał się mistrz świata na żużlu, Rosjanin Emil Czepałow.

– Tak zimno, że aż ręce się trzęsą – mruknęła i odetchnęła z ulgą, gdy po chwili skupienia papie-

rosa wreszcie udało się zapalić. Dym wywiął z głowy najbardziej wyraźne wspomnienie. Pozostawił jedynie wstyd, potęgowany przez fakt, że mistrz świata widzi ją taką roztrzęsioną.

On zaś wszedł na balkon, jakby niepewny, czy Kinga życzy sobie jego towarzystwa.

– Pat mówiła, że kiepsko wyglądałaś... i wiele się nie pomyliła. Jeśli źle się czujesz, nie powinnaś stać tu sama.

To było dziwne. Kinga oczywiście wiedziała, że Czepałow nie ma w sobie nic z zadzierającej nosa gwiazdy. Mało który żuźlowiec miał. Ale i tak nie spodziewała się, że tak po prostu przejmie się stanem niemal obcej osoby. Znali się przecież przelotnie, z kilku szybkich wywiadów robionych podczas meczów polskiej ligi.

– Dziękuję. Jest w porządku – zapewniła. – Od zaduchu zakręciło mi się w głowie.

Choćby był miły i sto razy, nie mogła mu przecież opowiedzieć o zachowaniu Vildeggo.

Czepałow kiwnął głową na znak, że rozumie, i nie ciągnął tematu. Stał jednak obok niej, gdy w głowie decydowała, że czas zejść z posterunku. Zaledwie wypaliła papierosa i cofnęła się do budynku, wpadła na Pat.

– Lepiej się czujesz? – zapytała kobieta, jakby zwracała się do koleżanki, a nie do nieznajomej dziennikarki. – Jesteś bardzo błada. Może powinnaś coś wypić?

– Nie, dzięki, chyba już pójdę – zdecydowała Kinga. Miała dość materiału. Również takiego, o jaki nie prosiła.

Rozejrzała się raz jeszcze po barze, starając się rozróżnić kilka głosów. Lindmann dyskutował z rosyjskim aktorem, a z jego monologu dało się wyłowić powtó-

rzoną kilkakrotnie frazę „niegrzeczni chłopcy jak my”. To chyba miało związek z rolą Rosjanina. Szpachla z reżyserem też o czymś dyskutowali; Peashaw za to wciąż przeżywał coś na podobieństwo Weltschmerzu, patrząc w zadumie na pustą szklanę.

Na sobie Kinga czuła dwa inne spojrzenia.

– Dziękuję za troskę – spróbowała w końcu. – Przewietrzę się trochę, to będzie mi lepiej.

– Odprowadzisz ją? – Pat zaraz zwróciła się do Czepałowa. Kinga chciała zaprotestować, ale uznała, że nocny spacer w towarzystwie mistrza świata to niegłupi pomysł. Abstrahując od tego, że nocowała daleko od hotelu, a autobusy zapewne już nie jeździły, były to sprzyjające warunki do zdobycia nowych informacji. I to nie o Vildem, który, choć nieobecny, wisiał nad nią jak cień.

– Nie ma sprawy. – Czepałow z galanterią skinął głową. – Mieszkasz na stadionie, prawda?

Kinga nie zdziwiła się, że zawodnik lokalnego klubu, w ekipie filmowej pełniący rolę przewodnika po Toruniu, wie, iż to właśnie dla niej prezes przygotował kanciapę obok przyszłego planu filmowego.

* * *

Po drodze faktycznie rozmawiali.

O tym, jak naczelny za późno poprosił o rezerwację dla niej i w hotelu nie było już miejsca. I jak sama zgłosiła się do prezesa toruńskiego klubu z pytaniem, czy nie da się załatwić noclegu jak najbliżej stadionu, a on zaproponował zaadaptowanie dwóch pokoików na obiekcie. Szpachla był niewiarygodnie uprzejmy, albo wołał żyć w zgodzie z żurnalistami.

O jej samopoczuciu. Tylko chwilę i bez szczegółów.

O Lindmannie i Flincie, co przerodziło się w rzucanie cytatami z pierwszego filmu, który oboje znali na pamięć (przynajmniej w zakresie kwestii Flinta).

Ani słowa o Vildem.

Na teren stadionu Czepałow wszedł jak do domu, ale zatrzymał się pod drzwiami kanciapy. Kinga kątem oka obserwowała zmiany w zachowaniu Rosjanina. Przyszło jej do głowy, że może chętnie nie kończyłby jeszcze tej nocy. Słyszała, że miał wiele partnerek, a pewnie jeszcze więcej takich jednorazowych, niezobowiązujących przygód. Oczywiście był mistrzem świata, dobrze się z nim rozmawiało, i urody też mu nie brakło. Kinga jednak miała świadomość, że gdyby o czymś takim dowiedzieli się jej redakcyjni koledzy, to stałaby się już nie dostawczynią, lecz obiektem pikantnych artykułów.

– Dziękuję, że mnie odprowadziłeś – powiedziała z naciskiem. – Dobrej nocy i do zobaczenia jutro.

W ciemnych oczach mignął chyba cień urazy. „Nie wpuścisz mnie?“, niemal usłyszała w głowie jego głos.

– Dobranoc – odparł jednak Czepałow i faktycznie się pożegnali.

Kinga obróciła klucz w zamku, potem w drugą stronę, potem jeszcze raz, gubiąc się w tym, w którą stronę powinna kręcić. W końcu weszła do ciemnego korytarzyka, z którego droga wiodła do łazienki, sypialni i pokoju, w którym przeprowadzała wywiady. To ostatnie pomieszczenie służyło do celów promocyjnych, ale na okazję jej wizyty w Toruniu Szpachla kazał wynieść stamtąd wszystkie trofea prócz jednego.

Coś błysnęło w mroku na podłodze. Rozpoznała metal pucharu. Zaniepokojona myślą, że trofeum mogłoby coś się stać, pospieszyła do pokoju...

Światło zapaliła, zanim podniosła nagrodę, zanim się rozejrzała, zanim zauważyła, że nie jest w pokoju sama. Jasność żarówek bezwzględnie obnażyła to, co skrywał mrok.

Na środku pokoju leżał na wznak Artamon Wilde. Bez kapelusza, za to z kałużą czerwieni wokół głowy.

Kinga złapała się ściany, wbijając paznokcie w białe tynk. Zamknęła oczy, powtarzając sobie, że to tylko halucynacja. Lecz kiedy je otworzyła, on tam nadal leżał, nieruchomy, zakrwawiony i niewątpliwie martwy.

* * *

Czas mijał, a Kinga siedziała w mikroskopijnej łazience, kolanami uderzając o drzwi. Uciekła tam od straszego znaleziska i najpierw wymiotowała, aż w żołądku została tylko żółć, a potem objęła nogi ramionami i trwała w jednej pozycji, oszołomiona i przerażona. W zajmowanym przez nią pokoju leżał trup człowieka, którego z chęcią by zamordowała, gdyby nie był już martwy. Nie weszła teraz do salonu, nie podniosła pucharu, nie dotknęła niczego, ale wszędzie i tak było pełno jej odcisków palców. Komukolwiek o tym powie, ten ktoś zawiadomi policję. A policja ucieszy się, że na miejscu zbrodni znalazła się też doskonała kandydatka na morderczynię.

Próbowała zdyscyplinować umysł i przypomnieć sobie, czy groziła Vildemu po nieszczęsnym wywiadzie, czy mówiła o nim źle przy innych, czy dała do zrozumienia, że życzy mu wszystkiego najgorszego. Myśli jednak uciekały. Podsuwały tylko Czepałowa, któremu tak stanowczo odmówiła, zupełnie jakby miała coś do ukrycia. Na przykład zwłoki.

Podciągnęła się na umywalce i napiła wody z kranu, by nawilżyć pustynię w gardle. Zrobiło jej się trochę lepiej, ale nic poza tym. Trup od tego nie zniknął.

W końcu odważyła się wyjść z łazienki i jeszcze raz zerknąć na zwłoki w absurdalnej nadziei, że oględziny w czymś pomogą. Podłoga, zdeptana jej butami, nie mogła obciążyć bardziej, a trupa ani domniemanego narzędzia zbrodni nie zamierzała dotykać.

Kiedy nie zaskakiwał swoją obecnością, Vilde nie był już taki straszny. I krew też nie, mimo obfitości, ponieważ zdążyła zaschnąć. Czarny skrzep z tyłu głowy ofiary, wyżej niż pokazywali w filmach, przypominał egzotyczną narośl. Na pucharze z kolei były tylko pojedyncze plamki, jakby ktoś, kto go trzymał, miał krwotok z nosa...

Pukanie do drzwi sprawiło, że zamarła. To pewnie jakiś nocny ochroniarz, może nie pamiętając o jej obecności, zainteresował się zapalonym światłem. Tylko jak miała go spławić, skoro bała się uchylić drzwi, by nie ujrzała, że coś jest nie tak?

Z bijącym głośniejszym sercem podeszła do drzwi, przeklinając brak judasza. Oczywiście, judasz w stadionowej kanciapie do zadań specjalnych nie miałby najmniejszego sensu – poza tym jednym wypadkiem. Zamarła, starając się po oddechu ustalić, kto stoi za drzwiami.

Pukanie powtórzyło się. Oddechu nie było słychać, za to po chwili rozbrzmiał znajomy głos:

– Wszystko w porządku? Czapałow kazał sprawdzić...

– Co ty tu robisz? – Z impetem otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z Lindmannem. Norweg był od niej o głowę wyższy, a teraz czuła się jeszcze mniejsza.

– Rekonesans. I sprawdzam, czy żyjesz, bo Czapałow się o ciebie martwił.

– Jaki, kurna, rekonesans w środku nocy?

– Tajemnica scenariusza – burknął Lindmann i przyjrzał się jej jeszcze uważniej, jakby chciał przeświecić na wylot. Nagle pociągnął nosem. – Dziwnie pachniesz. I wzrok masz taki... jakby cię żywcem pochowali. Co ja powiem... Co jest?

Gdy drgnął jej podbródek, Lindmann zmarszczył czoło, po czym bezceremonialnie odsunął Kingę i wszedł do środka, jakby był właścicielem także toruńskiego klubu. Dziewczyna powstrzymała odruch rzućenia się za żuźlowcem, odciągnięcia go, zanim zobaczy jej dosłownego trupa z metaforycznej szafy. I tak było za późno.

W jakimś chorym sensie ucieszyło ją, że stał jak wryty w progu pokoju i wyraźnie nie wiedział, co zrobić.

– Zaskoczony? – zapytała ponuro, czując, jak wzbiera w niej pragnienie zapalenia kolejnego papierosa. Lindmann odwrócił się powoli i popatrzył na nią zagadkowo tymi stalowoszarymi oczami, które idealnie wpasowywały się w oblicze brodatego wikinga. Dwa punkciki, które mogą przyszpilić.

– Ty go zabiłaś?

Kinga tylko zaśmiała się histerycznie, czując, że ten śmiech zaraz przejdzie w płacz. On nawet nie wiedział, co Vilde jej zrobił. Co pomyślałby ktoś, kto by *wiedział*?

– Musiałem zapytać – obronnym tonem zauważył Lindmann. – Cholera, to co on tu robi?

– Uwierz mi, też chciałabym to wiedzieć – wycedziła Kinga. – Zwłaszcza co tu robi martwy.

– Jakiś trop?

– Czy ja ci wyglądam na Sherlocka? Kurna, muszę zapalić – oznajmiła właściwie na jednym wdechu. Od-

wróciła się i naprawdę chciała wyjść, odetchnąć zimowym powietrzem, na spokojnie przemyśleć sytuację... Lindmann jednak przytrzymał ją za ramię.

– Czekaj. Wyjdiesz tak po prostu? W twoim pokoju leży trup.

– Zauważyłam. Ej, a może ty go zabiłeś, co? – Zmarszczyła brwi. Nie, żeby w to wierzyła, chociaż po tym człowieku można było się spodziewać wszystkiego, biorąc pod uwagę, jak zręcznie usuwał ze swej drogi każdą przeszkodę, która miała nieszczęście na niej stanąć. – Postanowiłeś zwalić winę na mnie, ponieważ nie lubisz dziennikarzy. Inaczej, co byś tu robił o tej porze?

Sporunował ją wzrokiem.

– Rekonesans, już mówiłem. Mamy scenę, która rozgrywa się na stadionie w środku nocy. Klucz do stadionu dostałem od Ewiego, bardzo mu się podoba, że jego sportowe dziecko zagra w taaakim filmie... Po co miałbym zabijać kurę, która zносиła złote jaja?

Kinga chciała odpowiedzieć, ale ścisnęła ją w gardle, kiedy przypominała sobie słowa Pat. W końcu zacisnęła zęby i przemilczała cisnące się na usta oskarżenia – nie tyle wobec Lindmanna, co wobec tego, który leżał obok nich martwy.

– Tak myślałem. – Po swojemu zinterpretował jej milczenie. – Jestem mrocznym skurwielem, jasne, ale bez przesady. I uwierz mi, też chciałbym wiedzieć, kto załatwił moją gwarancję sukcesu. Kto mi teraz napisze scenariusz?!

Kinga przełknęła ślinę, a wraz z nią – chęć zauważenia, że Lindmann ma osobliwe priorytety.

– To co robimy? – zapytała ostrożnie, gotowa na odpowiedź: „to twój problem”. – Dzwonimy na policję?

– Policję? – Zaśmiał się chłodno. – A co ci da policja, dziewczyno? W celi jest przyjemniej niż w tym składziku, to fakt – potoczył wzrokiem po pomieszczeniu, które wcale nie przypominało składzika – ale reportażu stamtąd raczej nie zrobisz. Nie, panno dziennikarko, zadzwonimy po ludzi, dla których takie widoki to chleb, rzekłbym, powszedni.

– Nie chcę wiedzieć, co masz na myśli – odpowiedziała Kinga i w końcu poszła zapalić. Od przebywania w jednym pokoju z nieżywym Vildem znowu robiło jej się niedobrze. Na szczęście z zewnątrz wyraźnie słyszała głos rozmawiającego przez telefon Norwega.

– ...Czepałow, nie śpisz? – Jakim cudem człowiekiem, dla którego „taki widok to chleb powszedni”, miałby być mistrz świata?! – ...dobrze z nią, żyje. Nie przejmuj się. Słuchaj, potrzebna konsultacja, i to pilnie, zanim nam *flow* ucieknie. Ucieliśmy sobie pogawędkę z Artamonem...

Kinga zaciągnęła się mocno, próbując zignorować mdłości.

– ...tak, głowa już mu nie dokucza... No, mamy problem natury kryminalistycznej i potrzebujemy konsultacji specjalisty. Płacimy ekstra. Kupę pieniędzy. Tylko warunek jest taki, że specjalista musi przyjechać szybko, zanim uznamy to za głupie... Nie pytaj, Artamon wymyślił konsultacje o takiej godzinie... Znasz kogoś, a jak nie znasz, to mógłbyś zapytać szwagierkę, czy zna? Ona ma dziwnych znajomych...

Zaśmiał się w pewnym momencie. Zwyczajnie, jak śmieją się ludzie podczas lekkiej telefonicznej rozmowy. Kinga zamknęła oczy, starając się nie wyciągać pochopnych wniosków. Kiedy jednak wyszedł do niej z miną, jakby załatwił kolejnego sponsora, i to z tych majątnych, nie wytrzymała:

– Kurna, nie wierzę. Siedzimy z trupem, ten trup to scenarzystą z pieprzonego Hollywood i jak ktokolwiek to wyczai, to nie tylko nas stąd na taczkach wywiozą, ale i cały ten stadion rozbiorą na cegielki... a ciebie to bawi? Do diabła, muszę zapalić – zakończyła, odpalając kolejnego papierosa od tego, który nie zdążył się jeszcze skończyć.

Lindmann pozostał obojętny na jej uwagi.

– Któręś z nas musi zachować przytomność umysłu. A ty chwilowo kopcisz i jęczysz, jakbyś nigdy trupa nie widziała...

– Jestem dziennikarką *sportową*, nie śledczą. Jedyne zgony, jakie widywałam, to te na imprezie. Żałuję, że tak nie zostało... Jezu, Lindmann, ciebie to serio nie rusza? – wyrwało jej się nagle. Stał obok taki obojętny, jakby naprawdę nic się nie stało. I to kto! Człowiek, który potrafił urządzić burdę w parku maszyn, bo w wyścigu dojechał na trzecim miejscu! Człowiek, który omal nie rzucił się z łapami na kolegę z drużyny, kiedy jego klub przed rokiem przegrał półfinał ligi!

On naprawdę miał dziwną hierarchię wartości.

– Może przywykłem. Za którymś razem przestaje cię to obchodzić. No nie patrz tak, nie słyszałaś, jak dwa lata temu nasz klub stracił trenera? Zamordowali go i to nie była ani pierwsza, ani ostatnia taka śmierć w moim otoczeniu. *Off the record* mówię, żeby nie było.

Odetchnęła głęboko, by głos nie drżał, ale same słowa musiały zdradzić strach, który znów podpełzł zbyt blisko:

– Powiedz mi, że tylko grasz. Powiedz mi, że to Flint, a nie Lindmann.

– A to jakaś różnica? – Zaśmiał się gorzko. – Flint jest spisany z Lindmanna, Lindmann inspiruje się Flintem. Moja żona powiedziałaby, że życie naśladuje sztukę.

– ...na widok zwłok by powiedziała?

– Nie. Na widok zwłok pewnie by zemdłała. – Znowu uśmiech. Jakby dla niego to faktycznie były tylko teoretyczne konsultacje do scenariusza, tak jak nakłamał Czepałowowi. – A potem przejęłaby się losem nieszczęśnika, bo ona wszystkimi się przejmuje, nawet tymi, którzy na to nie zasługują.

Kinga uniosła brwi. Nie spodziewała się, że Lindmann, zachwycony hollywoodzkim sznytem scenarzysty, zaliczy go do grona niegodziwców niezasługujących na współczucie.

– Ty wiedziałeś? – zaryzykowała w końcu, unosząc wzrok na majestatyczną sylwetkę żuźłowca. Z jej ust wydobył się kłęb dymu i pary. – Wiedziałeś o tym, co on robił i mimo to chciałeś z nim współpracować?

Lindmann wzruszył ramionami.

– Wiedziałem o Spiderze... to znaczy, Ronaldzie. Słyszałem, że Artamon miał go ponoć zmuszać do jakichś okropieństw w zamian za rolę w tym filmie, który miał sprawić, że Spider przestanie być Spiderem. Ale film nic nie dał, sprawa przycichła, uznałem, że gdyby faktycznie coś było na rzeczy, to nie zamietliby tego pod dywan... Potem poznałem Artamona i faktycznie, gość wygląda na paskudnego chujka... ale poza tym jest zabijasty w swoim fachu. To znaczy był.

Kingę ponownie uderzyła lekkość, z jaką Lindmann przeszedł do porządku dziennego nad śmiercią Vildego. Coś w środku pękło, bo zanim zdążyła zatkać sobie usta papierosem, wyznała:

– Mnie też próbował... Zresztą, nieważne. Nie zabiłabym go pucharem.

Nie odpowiedział. Patrzył w odznaczającą się dyskretnie na tle nocnego nieba i amarantowych chmur

sylwetkę stadionu. Myślami pewnie znów był przy filmie, bo co by go obchodziło nieszczęście dziennikarki z portalu o kiepskiej renomie.

* * *

Człowiek w trupach bywały dotarł, kiedy noc wciąż trwała. Kinga czekała na niego na parkingu pod stadionem, pozostawiając Lindmanna na straży zwłok. Człowiek okazał się zasnąłą blondynką mniej więcej w wieku Kingi, która przedstawiła się jako Wiktoria, bez nazwiska, i zaraz przeszła do rzeczy.

– Nie wyciąga się ludzi z łóżka o tej porze. Ale idą święta, potrzebuję kasy na prezenty, a podobno dobrze płacicie. To w czym problem?

– To najlepiej będzie pokazać – westchnęła Kinga i zaprowadziła Wiktorię do wnętrza stadionu, tam, gdzie w wąskim pokoiku ledwie mieścił się Lindmann. Na widok Norwega nowoprzybyłą zatchnęło, co wskazywało na to, że należy raczej do obozu jego przeciwników. Jeszcze bardziej zaś zatchnęło ją, kiedy Kinga pokazała jej Vildeggo.

– Chyba zaszło nieporozumienie – wykrztusiła po długiej chwili milczenia. – Ja jestem studentką kryminalistyki, a nie kryminalistką.

– Przecież cię nie prosimy, żebyś nam pomogła go zakopać – wmieszał się Lindmann. – Chcemy wiedzieć, dlaczego umarł i jak ustalić, kto mógł go zabić.

– Tym się zajmują patolodzy. I policja. – Wiktoria wyraźnie miała miękkie nogi, więc Kinga pospiesznie podsunęła jej krzesło. Sama czuła się już lepiej, głównie dlatego, że zdążyła wypalić cztery papierosy.

– Policja będzie podejrzewać mnie – wyznała Kinga – bo ja tu chwilowo mieszkam. I mogłam mieć mo-

tyw. A wierz mi, nie zabiłam gościa. Pomóż, proszę, zapłacić, ile zechcesz.

– Zapłacimy – uzupełnił flegmatycznie Lindmann. – Ja z kolei nie chcę, żeby było głośno o tym, że ktoś nam kropnął scenarzystę. Damy wszystko policji na tacy: trupa, dowody, mordercę.

– Doprawdy bardzo sprytne. – Tym razem to Wiktoria z przerysowaną intonacją zacytowała kwestię Flinta z pierwszego filmu. – Tylko że nie zrobię tu waszemu trupowi sekcji, a i z prowadzeniem śledztwa może być pewien problem.

Lindmann już otwierał usta, zapewne żeby poczęstować przyszłą kryminolożkę kolejną odzywką poświadczającą jego prawa do tytułu Mistrza Ciętej Riposty. Kinga uznała więc, że najwyższy czas interweniować.

– Zrobimy to jak w starych kryminałach – oznajmiła głośno. – Metodą dedukcji. Na pewno uczą was dedukcji na kryminalistyce, prawda?

Wcale nie miała tej pewności, ale bardzo chciała wierzyć, że Wiktoria magicznym sposobem rozwiąże ich problem. A przy okazji udźwignie przyciężki dowcip Lindmanna.

– Nie zdążyli – odparła ponuro dziewczyna. – Jestem na drugim roku. Cholera jasna, to miała być konsultacja teoretyczna, a nie zajęcia terenowe.

– Jak na niedoświadczoną jesteś zaskakująco opanowana – zauważył Lindmann i Kinga ku własnej zgrozie uznała to nawet za zabawne. Wiktoria natomiast zmarszczyła brwi tak, że niemal naszły jej na oczy.

– Nie wkurzaj mnie, bo zaraz nabędę doświadczenie. Gdybyś ty tu leżał...

– Możemy przejść do rzeczy? – poprosiła Kinga, czując, że jeszcze chwila i znowu zapagnie zapalić. – Ludzie w Toruniu nie lubią Lindmanna, to już ustaliliśmy...

– Ewi mnie lubi.

– Tylko poza sezonem. – Kinga postanowiła nie dać się zbić z pantafyku. – I raczej nie ma to nic wspólnego ze sprawą. Widzisz, tam leży domniemane narzędzie zbrodni, puchar za Drużynowe Mistrzostwo Polski... Nie ruszałam go, jakby coś. Nie jestem głupia. Szpachla też nie jest, nie kalałby bezcennego pucharu.

– To kopia. Nie zostawiłby bezcennego pucharu z obcą osobą. No i akurat on ma dość stylu, żeby dać człowiekowi w łeb pucharem za mistrzostwo kraju – wtrącił się Lindmann. – Jakim cudem on w ogóle pozwolił komukolwiek mieszkać na stadionie? Z tego, co wiem, to samotnia Ewiego na wypadek, gdyby był tu potrzebny dwadzieścia cztery na dobę. Spadek po poprzednim prezesie czy coś. Na jego miejscu nie wpuszczałbym tu byle dziennikarki.

– Nie jestem byle dziennikarką – warknęła Kinga, krzyżując ręce na piersi i spoglądając wyzywająco na żółtowca. – Prezes Szpachla sam chciał, żebym była jak najbliżej epicentrum wydarzeń. Żebym napisała w raporcie nie tylko o tym, że hollywoodzki scenarzysta – ze wszystkich sił starała się nie potknąć na tych słowach – wybrał na miejsce wielkiego finału toruński stadion, ale też opowiedziała, z jakimi honorami mnie tu przyjęto.

Uważnie obserwowała twarz Lindmanna i nie mogła nie zauważyć, jak drgnął mu mięsień i usta skrzywiły się w przelotnym grymasie niezadowolenia.

– Nie przeceniaj Artamona. Był niezły w swoim fachu, racja, Grønn pomógł go załatwić i wyłożył ekstra kasę, a nasz producent to nie jest ktoś, kto poszedłby

na taki układ dla byle kogo. Ale finał wymyśliliśmy my z Peashawem. W końcu Flint to nie pierwszy lepszy frajer – dodał zmienionym głosem, czerpiąc wyraźną przyjemność z cytowania własnego bohatera – Flint umie dodać dwa do dwóch.

Jakąkolwiek odpowiedź Kingi uprzedził głos Wiktorii:

– To... dziwne.

– Że Flint to geniusz? – Odwrócony tyłem do przyszej kryminolożki Lindmann nawet nie zauważył, że Wiktoria klęczy przy zwłokach i ogląda je na tyle, na ile to możliwe bez dotykania.

– Co jest dziwne? – Kinga w dwóch krokach znalazła się obok dziewczyny. Zwłoki Vildegó w ogóle nie wyglądały już upiornie, kiedy znajdowała się przy nich Wiktoria, całkiem spokojna, jakby zdążyła sobie wmówić, że to tylko ćwiczenia i ta krew to nie krew, a ten człowiek wcale nie jest martwy... – Czekaj, jest szansa, że on żyje?

– Nie oddycha – oznajmiła Wiktoria, po czym dłonią w rękawiczce ostrożnie dotknęła odzianego w kra-ciastą koszulę ramienia. – Jest zimny. Stracił bardzo dużo krwi. Stężenie pośmiertne objęło już całe ciało, co oznacza, że od śmierci minęło kilka godzin... Cztery co najmniej...

– Musiałabyś go zabić przed imprezą, a potem malować się przy zwłokach – wtrącił Lindmann, który też kucnął przy trupie i wreszcie przestał przytłaczać wzrostem. Kinga postarała się puścić ten komentarz mimo uszu.

– Stąd widać, gdzie został uderzony – ciągnęła Wiktoria, na przemian splatając i rozplatając palce. Wskazała miejsce między głową a karkiem niebosz-

czyka, całkiem zalane krwią. Kinga wołała się nie zastanawiać, jak ona tam cokolwiek dostrzegła, ani tym bardziej patrzeć zbyt długo. – Prawdopodobnie ma pękniętą podstawę czaszki, ale nie o to chodzi. Rzadko kiedy ślad po uderzeniu jest tak dobrze widoczny. Wygląda na to, że ktoś uderzył go, kiedy już leżał...

To stwierdzenie nie dawało odpowiedzi. Raczej mnożyło pytania.

– Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego miałby wchodzić do mojego pokoju – zaczęła Kinga, wypowiadając ostrożnie każde słowo – ale dlaczego miałby tu *leżeć*? Już pomijając pytanie, skąd...

Urwała, dostrzegłszy błyszczący przedmiot wystający z kieszeni zmarłego. Widoczny był jedynie jego fragment, a Kinga bała się dotykać zwłok, by nie dać policji więcej argumentów przeciwko sobie.

– Tam jest k... – zaczęła, ale więcej słów się nie przydało.

Lindmann zadziałał błyskawicznie. Dobył pomietą – ale chyba czystą – chusteczkę do nosa i przez nią wyjął z kieszeni Vildeggo klucz, dokładnie taki sam jak ten, który Kinga dostała dwa dni temu od Ewarysta Szpachli. Razem z kluczem wypadł też, zaczepiony o jego ząbek, blister z okrągłymi, białymi tabletkami.

Wiktorija gwizdnęła przez zęby. Pochyliła się nad blistrem, ale tabletek nie dotknęła. Lindmann bez słowa położył na kolanach Kingi chusteczkę z kluczem, jak trofeum, a ona tylko westchnęła. Jedno pytanie zastąpiło kolejne, a cisza, która zapadła po geście żużłowca, napełniała grozą.

– To są beta-blokery – oznajmiła Wiktorija po chwili będącej wiecznością. – Bierze się je na nadciśnienie, niektóre choroby serca, migreny i tak dalej.

W nadmiarze – palcem pokazała cztery puste miejsca na blistrze – drastycznie spowalniają akcję serca, spływającą oddech... i rozszerzają żyły. Nie wiem, czy zażył to wszystko naraz, ale jeśli tak, to mógł wyglądać na nieprzytomnego albo nawet na martwego, no i to tłumaczy obfity krwotok.

– Nie tłumaczy, kto dał mu klucz – zauważyła pośpiesznie Kinga. Przymknęła oczy, próbując przywołać jak najwięcej szczegółów z wydarzeń minionego wieczoru. W końcu miała się posłużyć dedukcją.

Przed sobą zobaczyła niewielki bar, zatłoczony, choć nie było ich przecież tak wielu. Pierwsza wykryzalizowała się Pat Jenkins, rozgadana, roześmiana, a potem nieoczekiwanie zacięta i mroczna. Dlaczego nagle wspomniała o niegodziwości Vildeggo, skoro wyglądało na to, że oprócz Kingi scenarzysta nie ma na koncie świeżych ofiar?

Spider... Ronald... i ta ruda, Lauren McIntyre. On bardzo szybko zniknął, ona wkrótce po nim. Jeżeli Wiktoria miała rację co do czasu zgonu Vildeggo, nie zdążyłby zabić scenarzysty po opuszczeniu imprezy. A co, jeśli zrobił to przedtem? Kinga wyszła ze stadionu wcześniej, żeby przejść się piechotą do hotelu i obejrzeć kawałek Torunia. Zdążyłby dotrzeć na miejsce przed nią. Każdy by zdążył. A chłopak dodatkowo miał motyw, no i przez cały wieczór sprawiał wrażenie roztrzęsionego. Lauren jako jedyna – oprócz Kingi, obserwatorki – wydawała się to dostrzegać, chodziła za nim krok w krok, szeptała coś, czego nie sposób było dosłyszeć. Może obiecywała zemstę.

On czy ona? A może oboje?

Dalej. Czepałow i ten rosyjski aktor, Jewgienij mu było na imię. Aktor mógł podzielić los Spidera i chcieć

się zemścić. Mógł też przy okazji szykować się do roli tego złego, „mordercy o twarzy dziecka”, jak podśmiewał się Lindmann. Z ciekawości Kinga jeszcze przed imprezą czytała wywiad z Jewgienijem: opowiadał, że w każdą rolę stara się wczuć, nie tylko zbudować swoją postać z teoretycznych informacji, ale stać się nią. Czy to mogłoby go pchnąć do zbrodni?

A znów Czepałow motywu niby nie miał, w ekipie pełnił rolę psa-przewodnika i wystawowego czempiona, by filmowcy mogli się pochwalić, że pili z mistrzem świata. Miły był, odprowadził Kingę, może liczył na coś więcej... Na przykład na to, że zobaczy jej reakcję na zwłoki?

Wolała o tym nie myśleć. Mili ludzie nie powinni być mordercami.

– Co my tu mamy? – myślał głośno Lindmann. – Klucz, który ktoś musiał mu dać. No i tabletki.

– Tabletki pasują do faktu, że dostał w głowę, kiedy już leżał – pociągnęła Wiktoria i rozejrzała się dookoła. – Nie ma tu śladów walki, nikt mu tych tabletek do gardła nie wpychał...

– Przypomniało mi się coś. Te, dziennikarka, pamiętasz, co Grønnowie mówili o Artamonie?

Kinga poprawiła się na podłodze i próbowała powrócić do wspomnień. Udało jej się umiejscowić w przestrzeni producenta i jego syna, i nawet usłyszeć ich głosy. Zachwycali się Vildem, podobnie jak połowa zgromadzonych. Wspominali o jego talencie, o tym, jaki scenariusz napisał do filmu, w którym wystąpił Grøn-junior. I że podobno pisze w transie, tylko nie bierze narkotyków i nie pije alkoholu, żeby w ten stan wpaść...

– Masz na myśli jego trans? – zapytała, pomijając uwagę o tym, że oprócz zawodu ma jeszcze imię. – Są-

dzisz, że po to były mu leki? Oprócz tego, że na migrenę, bo Peashaw mówił.

Kolejny obraz pojawił się przed oczami sam. Szpachla, reżyser i Peashaw, wcale nie dusza towarzystwa. Szpachla i reżyser pili, ale bez przesady. Peashaw nie tknął alkoholu. Podobnie jak Lindmann.

A jeszcze reżyser zapytał, i jego głos echem odbił się w głowie Kingi: *Ej, a to prawda, że Artamon chce, żeby Flint umarł w ostatniej scenie?*

– Chciał twojej śmierci – zauważyła głośno, zignorowawszy odpowiedź Lindmanna na jej poprzednie słowa. – To znaczy: śmierci Flinta.

– Flint jest jak Lenin, wiecznie żywy – zapewnił Lindmann, przeczesując palcami jasną, gęstą brodę. – Nawet jak go zabiją, odrodzi się i spuści solidny łomot wszystkim, którzy w niego nie wierzyli. Jak ja. Więc nie, nie zabiłbym go za taki chwyt fabularny, jeśli do tego pijesz.

– Nie do tego – westchnęła Kinga. – Głośno myśle. A teraz pomyślę jeszcze głośniej: musimy znaleźć Szpachlę i dowiedzieć się, komu dał klucz i po co.

Wstała i odetchnęła głęboko, zmuszając się ze wszystkich sił, by wzrokiem nie wracać do leżących na podłodze zwłok.

– A co z nim? – Wiktoria wskazała Vildeggo i cały wysiłek poszedł na marne.

Lindmann zaśmiał się nerwowo i podrapał w kark.

– Raczej nie ucieknie. Ale jak chcesz, możesz z nim zostać.

Lindmann oczywiście pochwalił się, że wie, gdzie mieszka Szpachla, ale nic z tych przechwałek nie wynikło. Norweg uznał, że prezes na pewno bawi wciąż na imprezie. Dobiegała czwarta rano, toteż Kinga sceptycznie odnosiła się do tego wariantu, ale na wszelki wypadek nic nie mówiła.

Prawdę powiedziawszy, nie mówiła też dlatego, że chociaż opuściła upiorną kanciapę na stadionie, na wspomnienie zwłok mdliło ją bardziej niż od samych zwłok. Jej stanu nie poprawiała myśl, że zostawili go tam samego. Gdzieś w głębi duszy Kingi odezwało się przekonanie, że nawet ktoś tak paskudny jak Vilde nie zasługuje na samotność po śmierci.

W każdym razie słusznie zrobiła, że milczała. Kiedy rozklekotane seicento Wiktorii zaparkowało naprzeciwko hotelu (i przy cmentarzu), z budynku wciąż dobiegała muzyka. Okna na drugim piętrze były uchylone mimo chłodu grudniowej nocy.

Ewaryst Szpachla okazał się pierwszą osobą, na którą wpadli w środku, jeszcze w hallu. Zauważył ich natychmiast, rośłego Lindmanna bowiem nie dało się nie zauważyć, ale przyspieszył tylko kroku.

– Ewi, zaczekaj. – Lindmann bezceremonialnie złapał prezesa wrogiego klubu za rękaw płaszcza. – Jesteś potrzebny. Komu dałeś klucz od jej – wskazał Kingę – pokoju?

– Nie mam czasu na wasze zabawy, Petter – burknął Szpachla, bardziej zmęczony niż zdenerwowany. Jego głos był nieco bełkotliwy, ale raczej z powodu usilnych prób imitowania właściwego akcentu niż przez alkohol.

Kinga wkroczyłaby do akcji, ale Lindmann świetnie radził sobie sam. Teraz już całym ciałem zastąpił prezesowi drogę i powtórzył żądanie.

– Zgubiły wam się? – westchnął Szpachla, nerwowym gestem poprawiając okulary. – Słuchaj, taksówka na mnie czeka, jest późno, chcieliście zrobić dowcip koleżance, fajnie, ale mnie w to...

– Jaki dowcip? – zapytali równocześnie Lindmann i Kinga, tylko on bardziej stanowczo i na tyle przekonująco, że Szpachla chyba na chwilę zapomniał o taksówce. A także o tym, że Lindmann nie rozumie po polsku.

– Przyszedł do mnie ten młody aktor, Spider... to znaczy Ronald Jak-Mu-Było – wyjaśnił i znowu poprawił okulary, jakby nad ranem nagle zaczęły mu notorycznie zjeżdżać z nosa – wyprosił klucz od apartamentu pani Marusieczko. Podobno mieliście jej całą ekipą zrobić jakąś niespodziankę. Zgodziłem się, bo sypialnia i tak ma osobny klucz, a mówiłem pani Marusieczko, żeby nie zostawiała rzeczy w innych pomieszczeniach, w końcu bywa tam sprzątaczką...

Kinga odruchowo kiwnęła głową. Faktycznie prosił, żeby na wszelki wypadek nie wynosiła rzeczy poza swoją sypialnię. Wprawdzie sprzątaczką jest godna zaufania, ale lepiej dmuchać na zimne... Gdyby nie to, że nie widziała żadnego motywu, dla którego Szpachla miałby zabić Vildeggo, wyrósłby na pierwszego podejrzanego. Lecz przecież na tej śmierci prezes i jego otoczenie tylko tracili: okazję do wypromowania miasta hollywoodzkim scenarzystą, reputację, czas i nerwy na użeranie się z policją czy prokuraturą.

Wiktoria tymczasem cierpliwie przetłumaczyła wypowiedź prezesa.

– Dałeś mu klucz tak po prostu? – zdziwił się Lindmann.

– Nie tak po prostu. Poparł go Emil – wytłumaczył Szpachla już po angielsku i uniósł rękę, jakby chciał odsunąć żuźłowca, ale w końcu zrezygnował. Lindmann z wrogiej Polonii Bydgoszcz wyraźnie wywierał odpowiednie wrażenie nawet na toruńskim prezesie. Przy czym Kingi to nie dziwiło: wiedziała, jak chorobliwie Szpachla pragnie poklasku i wiecznej chwały. Musiał podziwiać człowieka, który przeszedł drogę od chłopaka bezlitośnie wygwizdywanego z nienawiści do faceta bezlitośnie wygwizdywanego z zazdrości. Kiedyś z Lindmanna i jego furiackiego, nieobliczalnego charakteru robili dyżurną czarną owcę żuźla. A on przekształcił te przywary w rozpoznawalną markę. Dzisiaj sam dyktował warunki, chociażby planując sequel filmu, w którym był zaledwie aktorem i to nie w głównej roli, albo prowadząc własne śledztwo, jakby zależało mu na oczyszczeniu Kingi z podejrzeń. Lub odsunięciu ich od siebie.

Po co miałby mordować scenarzystę, na którego zaangażowaniu tak mu zależało? Kinga sądziła, że w kwestii Lindmanna nie zdziwi jej już nic (może oprócz jego zgody na wywiad), gdy wtem odpowiedź przyszła sama. Czy nie po to, żeby pokazać własną wszechmoc i poigrać z losem? Lindmann nie potrzebował ani Vildeggo, ani żadnego filmu. Chyba jedynie do tego, by po raz kolejny okazać się – w przeciwieństwie do swojego bohatera – niezwykłym.

– Emil Czepałow? – upewniła się tymczasem Wika. – Mistrz świata?

Czepałow nie miał motywu, powiedział stanowczo jakiś głos w głowie Kingi. Chciała w to wierzyć, więc skinienie głowy było dyskretne, ledwie zauważalne.

– Musimy go znaleźć – postanowiła Wika. Szpachla rzucił jej zaskoczone spojrzenie.

– Czemu tak się przejmujecie zwykłym kluczem?

– Niespodzianka była wyjątkowo durna i nasza koleżanka dziennikarka chce osobiście wygarnąć odpowiedzialnym. Resztę wyjaśnię ci później – obiecał Lindmann i nagle zmienił front. – Idź do tej taksówki, zanim ucieknie. My też już kończymy imprezę. Drogie panie, za mną. Nie potrzebujemy przegrywów – wymamrotał pod nosem głosem Flinta. – To nasi rywale potrzebują przegrywów, żeby im pasowali do wyniku.

– Za to potrzebujemy logiki – oznajmiła Kinga, obserwując wciąż odchodzącego w stronę taksówki Szpachlę, którego najwyraźniej bardziej jednak obchodziło łóżko niż trójka ludzi szukających klucznika. – Emil nie mieszka w hotelu. Skoro jeździ w barwach Torunia, to na pewno ma tu mieszkanie.

– Nawet znam adres – pochwalił się Lindmann. – Ale zapomnij, w życiu ci go nie dam. Sam bym pojechał, ale tak czuję, że nasz ptaszek Spider wyśpiewa ciekawsze rzeczy i chcę przy tym być...

Oczywiście znał numer pokoju kolegi z planu, jakże by inaczej. Na ich drodze do Spidera stała jednak recepcjonistka, która kategorycznie sprzeciwiła się wpuszczeniu do części mieszkalnej osób postronnych o tej porze.

Lindmann, wyraźnie zaskoczony takim obrotem sprawy, sięgnął po jedną z najbardziej wysłużonych kwestii nie tylko filmowych:

– Pani chyba nie wie, kim ja jestem.

Nawet jeśli wiedziała, recepcjonistka zachowała kamienną twarz.

– Mógłby pan być nawet papieżem. Jest środek nocy, a te panie tu nie mieszkają.

Żużłowiec nie odpowiedział od razu. Może rozważał tę propozycję zupełnie nowej roli. Do rozmowy wmieszała się więc Wiktoria, dotąd milcząca i trzymająca się raczej na uboczu:

– Przepraszam, że prosimy panią o nagięcie dla nas zasad, ale to naprawdę bardzo ważne. Jestem kryminolożką, koleżanka zajmuje się dziennikarstwem śledczym. Pomagamy panu Lindmannowi przygotować się do roli, a dobór odpowiedniej pory na ćwiczenia jest kluczowy. Wyjaśniłabym szczegółowo, ale niestety nie mogę zdradzać tajemnic scenariusza. Oczywiście, zrozumieśmy, jeżeli nie będzie pani w stanie nam pomóc, ale...

– Na chwilę – oznajmiła recepcjonistka, nie zmieniając wyrazu twarzy. – I proszę nie hałasować, a najlepiej w ogóle nie oddychać.

Zważywszy na to, po co tu przyszli, ten dowcip był naprawdę niefortunny.

– Widzisz, nie wszystko trzeba załatwiać z pozycji siły – oznajmiła z nieskrywaną satysfakcją Wiktoria niedługo później, gdy wreszcie szli schodami na drugie piętro. – I wierzyć, że nazwisko Lindmann otwiera wszystkie drzwi.

Norweg milczał, ponury i skoncentrowany. Kinga wiele by dała, by przeświecić jego myśli, już nawet niekoniecznie po to, by opisać je w reportażu dla „Żużłowego Kuriera”. Wydawał się urażony faktem, że to nie jego siła, urok osobisty, znane nazwisko coś im załatwiły. A ona coraz bardziej miała wrażenie, że gdyby nie przyplątał się w nocy na stadion, sprawa rozwiązałaby się sama, i to może w mniej pokrętny sposób. Zadzwończyłaby w końcu po policję i jakoś udowodniła, że nie mogła zabić Artamona Vildego...

Myślała o tym, kiedy Lindmann wiódł ją i Wiktorię korytarzem z taką wprawą, jakby spędził w tym hotelu pół życia. Chociaż wszystkie przejścia wyglądały o tej porze identycznie i za wszystkimi drzwiami było równie cicho, Norweg wiedział, gdzie skręcić, żeby dotrzeć pod pokój Spidera.

Wielka szkoda, że los nie docenił tego talentu. Nikt nie odpowiedział na pukanie ani na głośniejsze pukanie, ani na okrzyk Lindmanna: „Spider, otwieraj, to cholernie ważne!”.

– Mieliliśmy być cicho – przypomniwała Wiktoria, marszcząc brwi. – A może wcale go tam nie ma?

– Nie ma, nie ma – potwierdził kobiecie głos z drugiego końca korytarza. Był zaskakująco rzeński, jakby filmowcy nie tylko nie sypiali, ale nawet nie czuli takiej potrzeby. – Pewnie siedzi u Lauren.

Pat Jenkins pojawiła się na korytarzu bezszelestnie, jak zjawą. Miała zaskakująco rzeński i przytomny głos, lecz jej twarz była niezmiernie blada, a cienie pod oczami ujawniały zmęczenie. Kinga od razu poczuła się nieswojo; ten dysonans między całokształtem i detalami wzmacniał czujność. A przecież Pat też miała swoje powody, żeby pozbyć się Vildeggo. Skoro знаła Ronalda na tyle dobrze, by wiedzieć, gdzie teraz przebywa, może poprosiła go, by załatwił dla niej klucz.

– Skąd wiesz? – Lindmann nie rozważał możliwości teoretycznych, tylko od razu przystąpił do dzieła. Pat wzruszyła ramionami.

– Naprawdę nie zauważyłeś? Mają się ku sobie. Lauren bardzo pomogła Ronaldowi otrząsnąć się po wiadomości, że znowu musi współpracować z tym padalcem Vildem.

– My właśnie w jego sprawie – podchwycił Lindmann. Pat ze świstem wypuściła powietrze.

– To nie jest odpowiedni moment...

– Najlepszy możliwy – zapewniła szybko Kinga, obawiając się, że jeżeli nie wkroczy do akcji, zaraz cały hotel dowie się, gdzie jest Artamon Vilde i w jakim stanie. – Serio. Mamy sprawę związaną z tym... – odchrząknęła – ...tym człowiekiem i twoja pomoc nam się przyda. Co robiłaś wczoraj przed imprezą?

– Nie rozumiem związku. – Pat zmarszczyła brwi i nagle wydało się, jakby postarzała się o dekadę.

– Vilde zaginął – uzupełniła w natchnieniu Kinga. W końcu po polsku to byłaby tylko literka różnicy. – Próbujemy ustalić, kto i gdzie widział go jako ostatni. To naprawdę ważne – dodała z błagalną miną w obawie przed reakcją typu: „I dobrze, że zaginął. Po co go szukacie?”. Sama by tak zapewne zareagowała, nie znając całej prawdy.

– Nie pomogę. – Pat machnęła ręką, jakby odganiała owada. – Przed imprezą byłam na cmentarzu tu naprzeciwko, robiłam zdjęcia grobów... Mogę wam je pokazać w aparacie. A potem byłam na kawie ze starym kumplem. Jeszcze z czasów, kiedy zadawałam się z tym tamtym. – Brakowało tylko pogardliwego prychnięcia dla podkreślenia jej stosunku do byłego partnera. – Chcecie nazwisko kumpla?

– Nie ma potrzeby – mruknęła zmieszana Kinga.

– Chętnie – powiedział równocześnie Lindmann, głośno i stanowczo. Zapisał podane przez Pat nazwisko w telefonie, a kiedy pożegnali się z Brytyjką, z wyraźną wyższością rzucił: – Nie wydaje ci się podejrzane, że od razu zaczęła nam wszystko wyjaśniać, jakby szykowała się na przesłuchanie? I skąd ona laźła nad

ranem, skoro impreza już się chyba skończyła? Ewi zawsze siedzi do końca.

Kinga rozłożyła ręce.

– My też chodzimy po hotelu nad ranem i nic z tego nie wynika. Poza... sami wiecie czym...

– I moją rosnącą zapłatą – przypomniała Wiktoria, szurając po dywanie wojskowymi butami. Czapkę nasunęła niemal na oczy, szalikiem zasłoniła usta, ręce wciśnęła głęboko do kieszeni kurtki, jakby obawiała się, że wpadnie na kogoś znajomego.

Następnym przystankiem był pokój Lauren. Kinga jakoś nie spodziewała się, że i jej pokoju numer Lindmann doskonale zapamięta, toteż kiedy bez wahania skręcił w jeden z kilku dostępnych korytarzy, nie wytrzymała:

– Bywałeś u wszystkich czy nauczyłeś się tych numerków na pamięć?

– Lubię mieć komplet danych. – Lindmann uśmiechnął się jakoś niepokojąco, zaraz też spochmurniał. – Jak ja mogłem nie zauważyć, że Spider kręci z Lauren...

– No właśnie, co z ciebie za naczelny plotkarz w okolicy? – parsknęła Wiktoria, na moment odsunawszy szalik.

– Wolę określenie: „diler newsów”.

Do pokoju Lauren jednak nie dotarli. W hotelu o tej porze ekipa filmowa migrowała na masową skalę, ponieważ Spidera znaleźli w połowie korytarza. Chłopak był jeszcze bledszy i bardziej poszarzały na twarzy niż wcześniej. Ręce trzęsły mu się niemal tak jak wargi.

– Spider! – Lindmann jakby nie zwrócił na to uwagi. Zastąpił aktorowi drogę i bezceremonialnie zapytał: – Po co wzięłeś od Ewiego klucz do stadionu i co z nim zrobiłeś?

– Nie przesłuchuj go tutaj – syknęła Kinga. – Nie widzisz, w jakim jest stanie?

– W porządku – odparł Ronald sztucznie opanowanym głosem. Odetchnął bardzo głęboko i oznajmił: – Wziąłem, bo on mnie o to... poprosił.

– I poprosił cię pewnie jeszcze, żebyś poszedł tam z nim? – szarżował Lindmann. – Czy sam na to wpadłeś?

Chłopak zamrugął gwałtownie, a potem nagle wybuchł:

– Nie wiem, o co ci chodzi, ale odczep się ode mnie! Jak chcesz gadać o tym zwyrołu, to z tymi hipokrytami w rodzaju Peashawa! Dwa dni temu zapewniał, że doskonale mnie rozumie i sam nieraz dałby w mordę temu chujowi, a przed chwilą słyszałem, jak pierdolił, jaki to Vilde jest święty, jaki dobry scenarzysta, jaki utalentowany i wielki człowiek... Zerzygam się chyba – prychnął tak zdławionym głosem, że Kinga obawiała się, iż to nie wyraz obrzydzenia, lecz zapowiedź faktu.

– Ciszey tam! – ryknął ktoś zza najbliższych drzwi, ale Kinga była zajęta sprawami wyższej wagi. Już miała zareagować, spróbować pocieszyć Spidera, ale kiedy w głowie szukała odpowiedniego podejścia, Lindmann zdążył wyskoczyć przed szereg. I to dosłownie. Wyłamał się z ich kolumny i na środku hotelowego korytarza najzwyczajniej w świecie przycisnął do siebie Ronalda, zaskoczonego nie mniej niż Kinga i Wiktorii.

– Hej, już dobrze, no, spokojnie – mamrotał zdumiewająco opiekuńczym (zwłaszcza jak na niego) głosem. – Ten chuj już cię nie tknie, obiecuję. Nikogo nie tknie. Ronald, przepraszam, ja... nie wiedziałem, że aż tak... Co się stało? On cię...? Ty go...?

Kinga z trudem powstrzymała się od przetarcia oczu. Mogłaby od biedy uznać, że to wystąpienie było obliczone na efekt: przyznanie się Spidera do winy. Ale w tonie żużlowca słyszała coś innego, coś poruszającego, coś, czego nie dawałoby się zagrać. Lindmann nie był wielkim aktorem, przecież nawet sukces Flinta polegał na tym, że tę postać spisano z jej odtwórcy. Czy mógłby tak udawać?

– Ja go co? – pociągnął nosem Ronald, a łzy wisiały mu na rzęsach. Koledze z planu się nie wyrwał. – Nienawidzę? Tak, nienawidzę tego śmiecia, za to, co mi zrobił, za to, co próbował zrobić Lauren...

– Zabiłeś go? – zapytała cicho Wiktoria. To pytanie, które Lindmann na pewno chciał zadać jeszcze przed chwilą, gdy wybrzmiało w całości, sprawiło, że spiorunował ją wzrokiem i poprawił rękę otaczającą ramię aktora.

– C-co? – Spider popatrzył na nich wielkimi oczami, w których odbiło się autentyczne, bezbrzeżne zdumienie. – Nie było go dzisiaj, ale...

– Nie było go, bo nie żyje – uzupełniła Kinga, czując, że ktoś to w końcu musi powiedzieć. – Leży martwy w kanciapie na stadionie. Z kluczem w kieszeni. Który ty mu załatwiłeś u Szpachli.

– No t-tak. – Potoczył po zgromadzonych nieprzytomnym wzrokiem. Chyba jeszcze do niego nie dotarło, że jego oprawca faktycznie jest trwale i nieodwracalnie martwy. – Poprosił mnie, a jemu się nie odmawia.

– Co dokładnie miałeś zrobić? – Kinga nie zwracała uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenie Lindmanna. Teraz mu się zebrało na bycie tym dobrym. Rychło w czas!

– Pójść do prezesa i powiedzieć, że chcemy ci zrobić niespodziankę. A żeby na pewno dał klucz, wmówić

to Czepałowowi i powiedzieć, że niespodziankę zrobimy jutro, ale musimy się przygotować. Potem oddać klucz... jemu. Nie mówił, kto go zwróci...

– Czyli kręcimy się w kółko – mruknęła Wiktorina. – Klucz wyszedł od trupa i do trupa wraca...

Spider kręcił głową z wyraźnym niedowierzaniem... A potem wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie, gdy przeszył wzrokiem Kingę:

– Pamiętam jeszcze coś. On mówił, że tak po godzinie mam ci zaproponować, że opowiem o współpracy z Lindmannem. Że niby impreza się nie klei, wyjdźmy na zewnątrz... a potem miał przyjść Peashaw i wymyślić coś, żebyś wróciła na stadion... i spotkała niespodziankę... Ale on to potem odwołał. Na imprezie powiedział mi, że nieaktualne, bo Vilde zadzwonił do niego, że źle...

– Uciszcie się wreszcie! – huknęło zza drzwi. – Bo zadzwonię po policję!

– Niech pan dzwoni – rzuciła Wiktorina. – Byle po kryminalnych.

– Byleśmy zdążyli do Peashawa przed kryminalnymi – dodał ponuro Lindmann i raz jeszcze uściskał Spidera. – Trzymaj się, chłopie. Już po wszystkim. Vilde nie żyje i niech go diabli.

Brzmiało to nieco teatralnie, ale zdecydowanie było kwestią Lindmanna, nie Flinta. Oczywiście, gdyby to komuś robiło różnicę.

* * *

Dalszy ciąg wyjaśnień Kinga znała już z drugiej ręki, ponieważ komenda przy hotelu skutecznie uniemożliwiła im dotarcie do Peashawa przed policją. Bardzo

szybko jednak, jeszcze tego samego ranka, sama została wezwana na przesłuchanie. I wcale nie dlatego, że to w jej tymczasowym miejscu pobytu znaleziono zwłoki.

Peashaw przyznał się do winy właściwie od razu, zdruzgotany i wyraźnie wycieńczony udawaniem. Twierdził, że śmierć Vildeggo była odkupieniem dla jego ofiar i dowodem na to, że żadna szuja nie pozostanie bezkarna. Kinga próbowała sobie wyobrazić, jak mógł opisywać proces obmyślenia i popełniania zbrodni, jednak pewne okoliczności wykraczały poza jej pojęcie.

Podczas własnego przesłuchania z narastającym zdumieniem łączyła fragmenty pytań i to, co pozostało między wierszami, w zaskakującą całość. Scenarzyści nieprzypadkowo znaleźli się w jej kanciapie. Fakt, że złamanie podstawy czaszki Vilde doznał już w pozycji leżącej, też znalazł logiczne uzasadnienie. Peashaw miał bowiem twierdzić, jakoby ktoś poprosił ich o zrobienie Kindze paskudnego dowcipu. Ponoć obaj zgodzili się, że scena, w której Vilde po zażyciu leków będzie udawać nieboszczyka, a Peashaw przyjrzy się reakcji dziennikarki, pomoże im w uwiarygodnieniu zachowania jednej z postaci. A poza tym dostali za to obietnicę solidnej reklamy w żuźlowych mediach – i sporo pieniędzy.

Problemy były dwa. Dla policji i Kingi – taki, że Peashaw kategorycznie odmawiał podania nazwiska osoby, która zleciła ów makabryczny żart. Wrogiem dziennikarki mógł być każdy, również w jej redakcji, w końcu w kółko podgryzali się tam wzajemnie. Mógł też nie istnieć wcale i być wymyśloną *ad hoc* wymówką. Dla Vildeggo zaś – taki, iż współscenarzysta postanowił przy okazji sam skorzystać na jego domniemanej śmierci.

I chociaż Kindze powiedziano, że Peashaw powtórzał, jakoby nie zamierzał zrzucać na nią winy za za-

bójstwo Vildego, i tak czuła się paskudnie, wychodząc rano z komendy. A na dodatek przed sobą miała – jakże w temacie – cmentarz. Paczka z ostatnimi papierosami zaświerzbiała w kieszeni.

Na ulicy czekał na nią Lindmann. Jego przesłuchano wcześniej, ale patrząc na spokojnego Norwega, Kinga miała wrażenie, że kontakt z policją spłynął po nim jak woda po kaczce.

– Wiktoria musiała wracać. Rozliczyłem się z nią po królewsku, nikt nie powie, że z Flinta jest skąpe ścierwo... Jak się czujesz? – zapytał nagle przyjaźnie.

– Muszę zapalić – obwieściła. – A potem wyjechać stąd w diabły. Niech przyślą kogoś innego... o ile będzie do czego. – Uświadomiła sobie, że film właśnie stracił obu scenarzystów, a poza tym nikt nie będzie chciał sponsorować dłużej takiej produkcji. – Do licha, potraktowali mnie, jakby to w ogóle nie była moja sprawa!

– Bo nie jest. – Lindmann wzruszył ramionami. – Zbrodnia Peashawa to nasz wewnętrzny problem. Przykro mi, że musiałaś w tym uczestniczyć, ale nadal jesteś tylko kimś z zewnątrz.

Odetchnęła głośno, żeby nie powiedzieć czegoś, czego potem pożałuje.

– Nie rozumiesz? Ktoś, kto poprosił o to Peashawa i Vildego, bardzo źle mi życzy.

– Albo cię zwyczajnie nie lubi i przy okazji ma dościsła. W twojej branży większość to padalce bez kręgosłupa moralnego.

Kinga odetchnęła jeszcze głębiej. Przez chwilę w milczeniu przetrawiała jego słowa.

– Może masz rację – zaczęła wreszcie, przyjąwszy strategię. – Ale i tak dowiem się, co to za łajza. No i będę robić swoje, niech się udławi. Teraz na przykład – jej głos

stał się miękki i proszący – nie chcę wyjeżdżać z pustymi rękami, więc może... zgodzisz się na ten wywiad, co? Nie powiesz, że ostatnia noc nas do siebie nie zbliżyła.

– Dziennikarze! – z niedowierzaniem parsknął Lindmann. – Zawsze starają się coś ugrać. Odpowiem krótko: nie ma mowy. Żadne trupy nie sprawią, że zacznę współpracować.

Mówił wciąż lekkim, na wpół żartobliwym tonem, ale Kingę i tak przeszedł dreszcz. Zapalając papierosa, odwróciła się tyłem do cmentarza. Na wszelki wypadek.

